

KSIAŻKA, JAKIEJ ŚWIAT NIE WIDZIAŁ!



ENDGAME

WEZWANIE

JAMES FREY

oraz

NILS JOHNSON-SHELTON





Ta książka to zagadka:

Na jej stronach znajdziesz wskazówki, które zaprowadzą cię do
ukrytego gdzieś na tej planecie kluczaⁱ.

Rozszyfrowuj, dekoduj, interpretuj.

Szukaj i znajduj.

Kto pierwszy odnajdzie klucz i włoży go do właściwego zamka,
otrzyma złotoⁱⁱ.

Stosy, całe sterty Starożytnego Złotaⁱⁱⁱ.

\$\$\$ Ένα εκατομμύριο δολάρια του χρυσού. \$^{iv}.



ENDGAME

WEZWANIE

JAMES FREY

oraz

NILS JOHNSON-SHELTON



tłumaczenie

BARTOSZ CZARTORYSKI

Kraków 2014

ENDGAME
THE CALLING

Copyright © 2014 by Third Floor Fun, LLC.
Puzzle hunt experience by Futurruption LLC.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2014
Copyright © for the translation by Bartosz Czartoryski 2014

Redakcja – Sonia Miniewicz
Korekta – Radosław Pisula, Kamil Misiek / Editor.net.pl
Skład i łamanie – Joanna Pelc
Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN: 978-83-7924-251-1



www.wydawnictwosqn.pl

Q DYSKUTUJ O KSIĄŻCE



/WydawnictwoSQN



/SQNPublishing



/WydawnictwoSQN



NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej



Wspieramy środowisko! Książka została wydrukowana na papierze
wyprodukowanym zgodnie z zasadami zrównoważonej gospodarki leśnej!

Spora część tej powieści to fikcja, ale wiele zawartych w niej informacji jest najprawdziwszą prawdą. Endgame to nie blaga. Endgame nadchodzi.

Wszystko, cały czas, każde słowo, imię, każda cyfra, każde miejsce, każda odległość, każdy kolor, każda godzina, minuta i sekunda, każda litera na każdej stronie, cały czas, wszystko. Tak zostało powiedziane, tak jest mówione i tak będzie. Wszystko.

·ĒI^v 12 12 12^{vi}

Rozpoczyna się Endgame. Nasza przyszłość nie została jeszcze spisana. Przyszłość to przyszłość. Co ma być, to będzie. Każde z nas ma inne zdanie na temat naszego pochodzenia. Bóg nas stworzył. Obcy przynieśli. Rozszczepiła się błyskawica lub przeszliśmy przez portale. Koniec końców, nie liczy się jak. Mamy tę planetę, ten świat, Ziemię, dla siebie. Przybyliśmy tutaj, byliśmy tutaj i nadal jesteśmy. Ty, ja, my, cała ludzkość. Początek nie ma znaczenia, niezależnie od tego, w co wierzysz. Jednakże koniec... koniec ma. Oto Endgame.

Jest nas 12. Młodych ciałem, ale z dawnych ludzi. Nasze ścieżki wybrano przed tysiącami lat. Od tamtej pory przygotowujemy się na to, co ma nadejść. Gdy rozpocznie się gra, będziemy zmuszeni rozmyślać, obradować, rozszyfrowywać, pozostawać w ciągłym ruchu, zabijać.

Niektórzy przygotowani są gorzej, inni lepiej, i ci pierwsi zginą na samym początku. Endgame to rzecz prosta. Nie jest jednak łatwo, bo gdy umiera jeden, umierają też kolejni, niezliczeni. Zdarzenie i to, co stanie się potem, jest nieuniknione.

Jesteście nieświadomymi miliardami. Niewinnymi, biernymi gapiami. Szczęśliwymi przegranymi i pechowymi zwycięzcami. Publiką śledzącą grę, która zadecyduje o waszym losie.

My jesteśmy Graczami. Waszymi Graczami. Musimy brać w tym udział. Mamy ponad 13, ale nie więcej niż 20 lat. Tak brzmi zasada i zawsze tak brzmiała. Nie posiadamy nadnaturalnych mocy. Żadne z nas nie potrafi latać, zamienić ołowiu w złoto czy uleczyć własnych ran. Kiedy przyjdzie po nas śmierć, odejdziemy wraz z nią. Jesteśmy śmiertelnikami. Ludźmi. Spadkobiercami Ziemi. To właśnie do nas należy rozwiązanie Wielkiej Zagadki Zbawienia i jedno z nas musi tego dokonać, inaczej wszyscy będziemy zgubieni. Razem jesteśmy wszystkim: siłą, dobrocią, niegodziwością, lojalnością, mądrością, głupotą, brzydotą, pożądaniem, złośliwością, kaprysem, pięknem, wyrachowaniem, lenistwem, entuzjazmem, słabością.

*Układ typograficzny książki, brak wcięć akapitowych, rodzaj przypisów i sposób zapisu liczb został narzucony przez wydawcę oryginału. Może mieć to związek z rozwiązaniem zagadki, ale nie musi.

Jesteśmy dobrem i złem.

Jak ty.

Jak wszyscy.

Lecz nie jesteśmy razem. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie dzwoniemy do siebie i nie przesyłamy sobie wiadomości. Nie czatujemy przez Internet i nie spotykamy się na kawie. Jesteśmy rozdzieleni, porozrzućani po całym świecie. Od narodzin byliśmy szkoleni i wychowywani na ostrożnych i rozważnych, przebiegłych i zwodniczych, bezlitosnych i okrutnych. Nie cofniemy się przed niczym, aby odnaleźć klucze do Wielkiej Zagadki. Nie możemy przegrać. Porażka oznacza śmierć. Porażka to Koniec Wszystkich, Koniec Wszystkiego.

Czy entuzjazm pokona siłę? Głupota zwycięży dobroć? Lenistwo piękno? Czy wygra dobro, czy zło? Istnieje tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Graj.

Przeżyj.

Rozwiąż zagadkę.

Nasza przyszłość nie została jeszcze spisana. Nasza przyszłość to twoja przyszłość.

Co ma być, to będzie.

Więc słuchaj.

Podążaj za nami.

Raduj się.

Miej nadzieję.

Módl się.

Módl się gorliwie, jeśli wierzysz.

Jesteśmy Graczami. Twoimi Graczami. Gramy dla ciebie.

Zagrajcie z nami.

Ludu Ziemi.

Rozpoczyna się Endgame.

MARCUS LOXIAS MEGALOS

Hafiz Alipaşa Sk, Aziz Mahmut Hüdayi Mh, Sztambuł, Turcja



Marcus Loxias Megalos jest znudzony. Nie pamięta niczego sprzed nudy. Szkoła jest nudna. Dziewczyny są nudne. Piłka jest nudna. Szczególnie kiedy jego drużyna, Fenerbahçe, przegrywa. Tak jak teraz w meczu z Manisaspor.

Marcus gapi się z pogardą w ekran telewizora stojącego w niedużym, skromnie urządzonej sypialni. Zapada się w miękkim, czarnym skórzanej fotelu, do którego, kiedy chce wstać, przykleja mu się spocona skóra. Jest noc, lecz Marcus nie zapala świateł. Przez otwarte okno do sypialni, niczym natrząsywane duchy, wpadają odgłosy Bosforu – przeciągłe wycie okrętów, dzwoniący bój – którego jęki i brzdęki słyszy cały Sztambuł.

Marcus ma na sobie jedynie obszerny spodenki gimnastyczne. 24 żebra odznaczają się pod napiętą, opaloną skórą. Jego ramiona są muskularne i twarde. Oddycha lekko. Napina mięśnie brzucha. Ma krótko obcięte włosy i zielone oczy. Z koniuszka nosa ściekają mu perliste koraliki potu. Cały Sztambuł gotuje się tej nocy, a Marcus razem z nim.

Na jego udzie spoczywa otwarte, oparte w skórę, stare tomiszczko. Napisano je greką. Marcus nagryzmolił na kawałku papieru, który leży na księdze, kilka słów po angielsku: „Z rozległej jestem Krety. Rodzic mój imiona znaczne miał”. Nie pierwszy raz zaczytywał się w tej opowieści, traktującej o wojnie, poznaniu, zdradzie, miłości i śmierci. Lektura zawsze sprawiała mu przyjemność.

Czegoż by nie oddał, aby samemu móc udać się w podobną podróż, uciec przed męczącym skwarem tego nudnego miasta. Wyobraża

sobie ciągnące się przed jego oczami nieskończone morze, chłodny wiatr muskający skórę, przygody oraz ustawiających się w bojowym szyku wrogów, którzy mającą na horyzoncie.

Marcus wzdycha i sięga po strzępek papieru. W drugiej ręce trzyma nóż wykuty 9000 lat temu z pojedynczego kawałka brązu w płomieniach Knossos. Przejeżdża ostrzem po skórze i wbija sztych w prawe przedramię, ale niezbyt mocno. Dobrze zna ten nóż. Ćwiczył z nim, odkąd potrafił utrzymać go w ręce. Spał z ostrzem pod poduszką od 6 roku życia. Zabijał nim kurczaki, szczury, psy, koty, świnie, konie, jastrzębie i jagnięcia. Z jego pomocą uśmiercił też 11 osób.

Ma 16 lat, idealny wiek na Grę. Po ukończeniu 20 nie spełniałby warunków. Chce Grać. Wolalby umrzeć niż przestać spełniać warunki. Zdaje sobie jednak sprawę, że jego szanse są bliskie zeru. Wojna nie odnajdzie go tak, jak odnalazła Odyseusza. Nie odbędzie swej wielkiej podróży. Jego lud czeka od 9000 lat. Od dnia, w którym wykuto nóż. O ile mu wiadomo, będzie musiał czekać i kolejne 9000. Po Marcusie nie zostanie już ślad, a stronicie tej książki rozsypią się w proch.

Dlatego jest znudzony.

Kibice na ekranie telewizora wznoszą radosne okrzyki i chłopak podnosi wzrok znad ostrza. Bramkarz Fenerbahçe posyła piłkę lobem wzdłuż prawej linii, prosto do krzepkiego pomocnika, który podaje ją dalej, za linię obrony drużyny przeciwnej, między dwóch ostatnich zawodników stojących przed golkipierem Manisasporu. Zawodnicy ruszają za piłką, dopada do niej napastnik; jest już 20 metrów od bramki, nikt go nie zatrzymuje. Bramkarz szykuje się do starcia.

Marcus nachyla się do telewizora. Zegar wskazuje 83:34. Fenerbahçe musi strzelić gola, a jeśli drużynie uda się zdobyć bramkę w tak dramatyczny sposób, zachowa twarz. Stara księga spada na podłogę. Karteczka ześlizguje się ze stronicy i przecina powietrze niczym dryfujący liść. Zgromadzona na trybunach publika podnosi się z miejsc. Niebo nagle jaśnieje, jakby bogowie, Bogowie Niebiańscy we własnej osobie, zstąpili na ziemię, aby pomóc piłkarzom. Golkipier robi

krok w tył, a napastnik zbiera się do strzału, uderza, futbolówka leci w stronę bramki.

Gdy ląduje w siatce, rozbłyskują jupitery, tłum szaleje. Rozlegają się krzyki, najpierw entuzjastyczne z powodu gola, a następnie przerażone, skonfundowane; pełne autentycznej, głębokiej grozy i niepokoju. Ogromna kula ognia, płonący meteoryt, eksploduje nad głowami publiczności i przetacza się przez boisko, miażdżąc obronę Fenerbahçe i wyrwijając dziurę w głównej trybunie stadionu.

Marcus patrzy na tę scenę z szeroko otwartymi oczyma. Świadczy masakrze na skalę tragedii znanych mu z amerykańskich filmów katastroficznych. Połowa obiektu stoi w ogniu, dziesiątki tysięcy ludzi nie żyją lub płoną.

Jest to najpiękniejsza rzecz, jaką chłopak kiedykolwiek widział.

Oddycha ciężko. Pot zalewa mu twarz. Ludzie na zewnątrz krzyczą, wrzeszczą, jakaś kobieta z kawiarni na dole wyje i biadoli. Gdzieś w starożytnym mieście nad Bosforem, pomiędzy morzami Marmara i Czarnym, rozlegają się syreny.

Na ekranie płonie stadion. Zawodnicy, policja, kibice i trenerzy biegają jak ludzkie pochodnie. Komentatorzy proszą o pomoc, zwracają się do Boga, bo niczego nie rozumieją. Żywi i ci, którzy niedługo umrą, depczą po sobie, próbując uciec. Rozlega się kolejny wybuch i telewizor gaśnie.

Serce mało nie wyskoczy Marcusowi z piersi. Jego mózg jest rozgrzany niczym paląca się murawa, czuje, jakby w żołądku zaszyto mu kamienie i polano kwasem. Lepią mu się dłonie. Zauważa, że wbił sobie nóż w przedramię, strumień krwi tryska z ręki na fotel i na księgę. Nie będzie już się do niczego nadawała, ale nie ma to znaczenia; już jej nie potrzebuje. Nareszcie ma własną Odyseję.

Marcus spogląda na ciemny telewizor. Wie, że tam, w rumowisku, coś na niego czeka i on musi to odnaleźć.

Tę jedną rzecz.

Dla siebie, dla swojego ludu.

Uśmiecha się. Ćwiczył całe życie, czekając na tę chwilę, a nawet kiedy odpoczywał, i tak śnił o Zewie, o Wezwaniu.. Wszystkie wizje zagłady, jakie zrodziły się w jego nastoletnim umyśle, nie mogły się równać z tym, czego właśnie był świadkiem. Meteor zniszczył stadion piłkarski i odebrał życie 38 676 ludziom. Legendy głosiły, że zapowiedź będzie efektowna. Choć raz mówiły prawdę. Rzeczywistość okazała się jeszcze piękniejsza.

Marcus wyczekiwał, wypatrywał i przygotowywał się do Endgame całe swoje życie. Nie był już znudzony i nigdy już nie będzie, bez względu na to, czy przeżyje, czy umrze.

To jest to.

Na pewno.

To jest to.



CHIYOKO TAKEDA

22B Hateshinai Tōri, Naha, Okinawa, Japonia



Trzy uderzenia niedużego dzwonka wykonanego ze stopu cyny i ołowiu budzą Chiyoko Takedę. Dziewczyna obraca głowę. Na elektronicznym zegarze widnieje 5:24. Ciężkie liczby. Znaczące. Zapamiętuje je. Wyobraża sobie, że to samo robią ci, którzy przypisują doniosłość numerom takim jak 11:03, 9:11 czy 7:07. Przez resztę życia będzie widziała 5:24 i już na zawsze będzie niosła ciężar, wagę i znaczenie tych liczb.

Chiyoko odwraca wzrok od zegara stojącego na jej stoliku nocnym i wpatruje się w mrok. Leży naga na pościeli. Oblizuje pełne wargi. Przygląda się cieniom na suficie, jakby chciała wyczytać z nich jakąś wiadomość.

Dzwonek nie powinien był się odezwać. Nie dla niej.

Przez całe życie słuchała o Endgame i swoim dziwnym, nieprawdopodobnym wręcz pochodzeniu. Zanim rozbrzmiał dzwonek, była 17-letnim wyrzutkiem nauczonym w domu, mistrzynią żeglarstwa i nawigacji, zdolną ogrodniczką i zwinną alpinistką. Biegłą w symbolach, językach i słowach. Tłumaczką znaków. Zabójczynią zdolną posługiwać się wakizashi, hojo i shurikenami. Teraz, kiedy została zbudzona przez dzwonek, czuje się, jakby miała lat 100. 1000.

10 000. I ma wrażenie, że starzeje się z każdą upływającą sekundą. Spada na nią ciężar minionych stuleci.

Chiyoko zamyka oczy. Mrok powraca. Chciałaby znaleźć się gdzie indziej. W jaskini. Pod wodą. W najstarszym lesie na Ziemi. Lecz jest tutaj i musi się z tym pogodzić. Niedługo ciemność pochłonie wszystko i nikogo nie ominie. Musi nauczyć się, jak sobie z nią

radzić. Zaprzyjaźnić się. Pokochać. Szkoliła się przez 17 lat i teraz jest gotowa, choć nigdy o to nie prosiła i nigdy się tego nie spodziewała. Mrok. Przypomina jej ukochaną ciszę, która stanowi część jej samej. Potrafi bowiem słuchać, ale nigdy nie wypowiedziała ani słowa. Wygląda przez otwarte okno, bierze oddech. Przez noc padało, czuje wilgoć w nozdrzach, gardle i piersi. Powietrze pachnie przyjemnie. Słyszy delikatne stukanie w przesuwne drzwi do pokoju. Siada na łóżku, obrócona drobnymi plecami do wejścia. Tupie dwukrotnie, co oznacza *wejść*.

Rozlega się dźwięk drewna prześlizgującego się po drewnie. Potem następuje cisza zatrzymywanych drzwi. Delikatne szuranie stóp.

– Zadzwoń – mówi jej wuj, kłaniając się nisko. Składa tym samym, jak zostało przyjęte i jak określały reguły, wyraz najwyższego szacunku młodemu Graczowi. – Musiałem – dodaje. – Nadchodzą. Wszyscy.

Chiyoko kiwa głową.

Mężczyzna, nadal pochylony, mówi:

– Przepraszam. Już czas.

Chiyoko tupie pięciokrotnie, w nierównych odstępach. *Dobrze. Szklanka wody.*

– Tak, oczywiście.

Wuj wychodzi tyłem z pokoju i oddala się po cichu.

Chiyoko wstaje, zaciaga się powietrzem i podchodzi do okna. Jej bladą skórę otula nikły blask miejskich świateł. Patrzy na Nahę. Park. Szpital. Przystań. Morze. Czarne, szerokie i spokojne. Łagodna bryza. Drzewa palmowe rosnące pod jej oknami szepczą. Wiszące nisko szare chmury zaczynają lśnić jasnym blaskiem, jakby w pobliżu lądował statek kosmiczny. *Starzy ludzie pewnie już nie śpią*, myśli Chiyoko. *Starzy ludzie wstają wcześniej*. Piją herbatę, jedzą ryż i marynowaną rzodkiewkę. Jajka, ryby i ciepłe mleko. Niektórzy pamiętali wojnę. Ogień z nieba, który niszczył i dziesiątkował. Lecz pozwolił też na odrodzenie. To, co się stanie, przypomni im o tamtych dniach. Odrodzenie? Ich przetrwanie i przyszłość zależą tylko od Chiyoko.

Pies zaczyna opętańczo czekać.

Rozlega się alarm samochodowy.

Niebo jaśnieje, chmury rozdziera gigantyczna ognista kula, która rozpada się gdzieś nad przedmieściami. Krzyczy, płonie, wpada do przystani. Ogromna eksplozja i kłęby rozgrzanej pary rozświetlają poranek. Deszcz pyłu, kamieni, plastiku i metalu spada na Nahę. Umierają drzewa. Umierają ryby. Dzieci. Marzenia. Bogactwo. Szczęśliwcy gasną we śnie. Reszta płonie lub zostaje okaleczona.

Będą myśleli, że to trzęsienie ziemi.

Ale jeszcze zobaczą.

To dopiero początek.

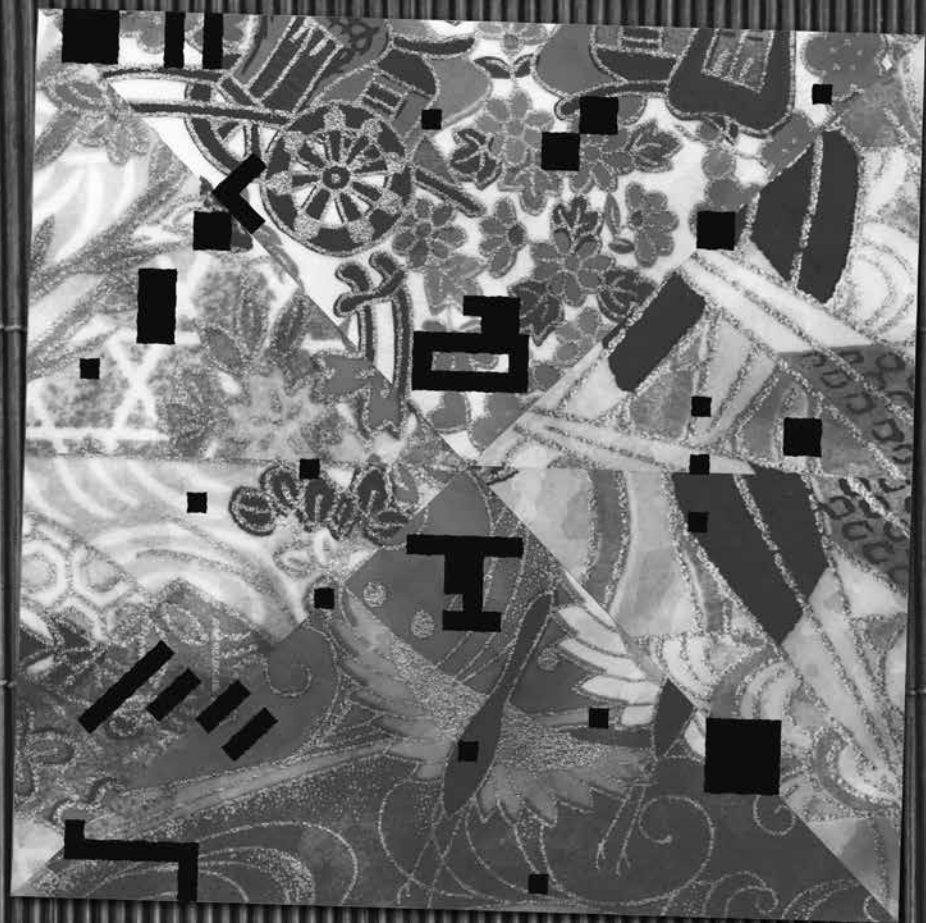
Gruz spada na miasto. Chiyoko czuje, że gdzieś tam znajduje się coś przeznaczonego dla niej. Odchodzi od okna jednym zdecydowanym krokiem i wówczas do jej pokoju wpada rozżarzony węgielek w kształcie makreli, wypalając dziurę w macie tatami.

Wuj ponownie puka do jej drzwi. Chiyoko tupie dwukrotnie. *Wejdz*. Nadal są otwarte. Mężczyzna wchodzi do środka z pochyloną głową, staje przy niej i podaje proste, niebieskie jedwabne kimono, które dziewczyna wkłada. Gdy jest już ubrana, bierze od niego szklanę lodowatej wody.

Polewa nią węgielek, który skwierczy i wypłuwa z siebie parę, woda gotuje się na jego powierzchni. Stygnie. Lśniący, czarny kamień o ostrych krawędziach.

Spogląda na wuja. On odwzajemnia jej spojrzenie, a w jego oczach czai się smutek. To smutek gromadzony przez stulecia, smutek dobiegających końca żyć. Chiyoko kłania mu się w podzięcie. Mężczyzna próbuje się uśmiechnąć. Był taki jak ona, wypatrywał rozpoczęcia Endgame, ale, jak niezliczenie wielu innych przez tysiące lat, bezskutecznie. Chiyoko się doczekała.

– Przykro mi – mówi. – Z twojego powodu. Z naszego. Co ma być, to będzie.



SARAH ALOPAY

Bryan High School, Omaha, Nebraska, Stany Zjednoczone



Dyrektorka uśmiecha się, patrzy na tłum i mówi:

– To dla mnie zaszczyt móc przedstawić uczennicę, która wygłosi mowę na zakończenie szkoły. Przed wami Sarah Alopay!

Zgromadzeni wiwatują, wznoszą okrzyki, gwizdzą.

Dziewczyna wstaje. Ma na sobie czerwony biret i togę przepasaną błękitną szarfą. Na jej wargach od samego rana gości uśmiech. Rozbolała ją od tego cała twarz. Jest szczęśliwa. Za niecały miesiąc skończy 18 lat. Spędzi lato przy wykopaliskach archeologicznych w Boliwii, u boku swojego chłopaka, Christophera, a jesienią rozpocznie studia na Princeton. Kiedy zaś skończy 20 lat, rozpocznie resztę swojego życia.

Za 742,43625 dnia będzie wolna.

Przestanie spełniać warunki.

Usiadła w rzędzie numer 2, za grupą pracowników administracyjnych, członkami komitetu rodzicielskiego i trenerami futbolu. Od przejścia dzieli ją kilka krzeseł. Towarzyszy jej Reena Smithson, najlepsza przyjaciółka Sary, którą zna od 3 klasy szkoły podstawowej. Dziewczyna spogląda na siedzącego cztery rzędy dalej Christophera. Blond włosy, lekki zarost, zielone oczy. To człowiek spokojny, o wielkim sercu, do tego najprzystojniejszy chłopak w szkole, mieście, stanie, a dla niej nawet i na całym szerokim świecie.

– Daj czadu – mówi Christopher, szczerząc zęby w uśmiechu.

Sarah i Christopher są razem od 7 klasy. Nierozłączni. Rodzina Christophera jest jedną z najzamożniejszych w Omaha. Są tak bogaci, że jego mama i tata nawet nie kłopotali się powrotem z Europy na

rozdanie świadectw. Kiedy chłopak szedł na podium, to rodzina Sary cieszyła się najgłośniej. Mógł pójść do prywatnego liceum lub szkoły z internatem, gdzie uczęszczał jego ojciec, ale odmówił, nie chcąc rozstawać się z Sarą. To jeden z wielu powodów, dla których go kocha i wierzy, że będą razem do końca swoich dni. Pragnie tego i wie, że on również. A za 742,43539 dnia będzie to możliwe.

Sarah idzie alejką w kierunku podium. Ma na sobie różowe ray-bany model wayfarer, które dostała od ojca na Boże Narodzenie. Okulary zasłaniają jej brązowe, szeroko osadzone oczy. Długie, kasztanowe włosy spięła w ciasny kucyk. Gładka, brązowa skóra lśni. Pod togą nosi takie samo ubranie jak pozostali.

Lecz ilu z nich dźwiga ze sobą na podium ciężar artefaktu? Sarah zawiesiła go na szyi, tak jak Tate, kiedy jeszcze spełniał warunki.

Przekazywano go od Gracza do Gracza, przez 300 pokoleń. Przyczepiony do łańcuszka wypolerowany czarny kamień od 6000 lat jest świadkiem miłości, smutku, piękna, światłości, żalu i śmierci. Sarah nosi wisior od chwili, kiedy Tate został ranny, a rada jej ludu zdecydowała, że to ona powinna być następnym Graczem. Miała wtedy 14 lat. Od tamtej pory nie zdejmowała amuletu, przyzwyczaiła się do niego, praktycznie nie czuje, że go ma.

Kiedy idzie w stronę podium, na tyłach zaczynają skandować:

– Sar-ah! Sar-ah! Sar-ah!

Uśmiecha się, odwraca i patrzy na przyjaciół, kolegów, koleżanki z klasy, Christophera, swojego starszego brata Tate'a, rodziców. Jej mama obejmuje ramieniem tatę, oboje są dumni, szczęśliwi. Sarah daje im do zrozumienia, że jest podenerwowana. Ojciec uśmiecha się i unosi kciuk. Dziewczyna wchodzi na podium, a pani Shoemaker, dyrektorka, wręcza jej dyplom.

– Będzie mi ciebie brakowała, Saro.

– Nie odchodzę na zawsze, pani Shoe! Jeszcze się zobaczymy.

Lecz pani Shoemaker wie lepiej. Sarah Alopay nigdy nie otrzymała oceny niższej niż piątka. Należała do reprezentacji stanu w piłce nożnej i w biegach, otrzymała maksimum punktów na egzaminach

końcowych. Jest zabawna, miła, szczerza i pomocna, zdecydowanie przeznaczona do wielkich rzeczy.

– Daj im popalić, Alopay – mówi dyrektorka.

– Jak zawsze – odpowiada Sarah.

Dziewczyna podchodzi do mikrofonu, patrzy na zachód, nad głowami tłumu. Za grupą 319 uczniów znajduje się wysoki dębowy zagajnik. Słońce przygrzewa mocno, ale Sarah, tak jak i inni uczniowie, nie zwraca na to uwagi. Kończy się właśnie pewien etap ich życia i za moment rozpocznie się kolejny. Są podekscytowani. Myślą o przyszłości, wyobrażają ją sobie, mają nadzieję, że spełnią się ich marzenia. Sarah nieźle się napracowała, przygotowując mowę. Skoro ma być głosem swoich koleżanek i kolegów, chce dać im coś, co ich zainspiruje, popchnie do działania, gdy już otworzy się przed nimi ów nowy rozdział. To niemała presja, lecz dziewczyna do niej przywykła. Pochyla się i odchrząkuje.

– Gratuluję i witam was w tym najpiękniejszym dniu waszego życia, a przynajmniej najpiękniejszym jak do tej pory!

Dzieciaki zaczynają szaleć, kilkoro z nich przedwcześnie rzuca do góry birety, niektórzy zaczynają się śmiać, coraz więcej osób skanduje „Sar-ah! Sar-ah! Sar-ah!”.

– Kiedy myślałam, co powiedzieć – ciągnie Sarah, a serce mało nie wyskoczy jej z piersi – zdecydowałam się rozwiązać pewną kwestię. Zastanowiłam się, o co najczęściej jestem pytana i, choć to trochę żenujące, nie mam wątpliwości, że chcecie po prostu wiedzieć, „na czym polega mój sekret”.

Śmiech. Bo to prawda. Jeśli istniał uczeń idealny, to była nim właśnie Sarah. Przynajmniej raz w tygodniu ktoś zadawał jej wspomniane pytanie.

– Po długim namyśle zrozumiałam, że moim sekretem jest brak sekretu. To już, oczywiście, kłamstwo. Sarah miała swoje tajemnice. I to jakie. Sekrety przekazywane w jej rodzinie od tysięcy lat. I choć istotnie dokonała tego, co zapewniło jej taką popularność i uwielbienie, faktycznie zasłużyła na każdą piątkę, każdą nagrodę, każde trofeum,

to jeszcze nie było wszystko. Robiła rzeczy, o jakich im się nie śniło. Krzesła ogień z lodu. Polowała i zabijała wilki gołymi rękoma. Nie spała przez tydzień. Trafiła jelenia z odległości mili. Mówiła dziewięcioma językami, posiadała pięć paszportów. Uważali ją za Sarę Alopay, królową balu i typową amerykańską dziewczynę, lecz była nie gorzej wyszkolona i podobnie zabójcza jak najlepsi żołnierze na Ziemi.

– Jestem taka, jaką mnie widzicie. Jestem szczęśliwa i gotowa na to, co nadejdzie, bo pozwalam sobie na szczęście. Nauczyłam się dość szybko, że bycie aktywną rodzi dalszą chęć do działania. Że darem nauki jest wiedza, a sama zdolność widzenia pozwala nam dostrzec pewne rzeczy. Że jeśli nie pielęgnujesz gniewu, nie będziesz się złościć. Że smutek i frustracja, nawet tragedia, są nieuniknione, co nie oznacza, iż zabrania się nam szczęścia; wszyscy mamy do niego prawo. Moim sekretem jest to, że sama wybrałam, kim chcę być. Że nie wierzę w przeznaczenie i predeterminizm, ale w wolny wybór, którego dokonuje każde z nas. Możesz być tym, kim chcesz; możesz robić to, co chcesz; możesz pójść tam, gdzie chcesz. Świat i życie są dla ciebie, są twoje. Przyszłość nie została spisana, możesz ją kształtować.

Wszyscy są cicho. Nikt się nie odzywa.

– Patrzę na zachód. Za wami, za rzędami ławek, rosną dęby. Jeszcze dalej rozciągają się równiny, kraina moich przodków, ojczyzna całej ludzkości. Za nimi z kolei piętrzą się pasma górskie, skąd biorą swój początek strumienie wód. Dalej znajduje się morze, źródło życia. Nad nami niebo. Pod nami ziemia. Życie jest wokół nas i...

Potężny huk przerywa jej mowę. Wszyscy unoszą głowy. Nagła jasność przebija się przez dęby, znaczy niebo blizną. Nie porusza się, raczej rośnie. Przez moment zgromadzeni patrzą na światłość z podziwem i trwogą. Parę osób zaczyna ciężko oddychać, ktoś pyta: „Co to jest?”.

Nikt nie odwraca wzroku od zjawiska, aż z tylnych rzędów rozlega się osamotniony krzyk; jasność oblewa tłum. Jakby ktoś dał sygnał, ludzie w jednej chwili zrywają się z krzeseł, przewracają je, krzycząc, panuje totalny chaos i zamieszanie. Sarah wstrzymuje oddech.

Instynktownie sięga pod togę i zaciska palce na zawieszonym na szyi kamieniu.

Wydaje się cięższy niż kiedykolwiek. Asteroida, meteoryt, kometa czy cokolwiek to jest, ma wpływ na jego masę. Sarah nieruchomieje. Patrzy, jak światłość zmierza w jej stronę. Kamień zmienia się ponownie, teraz jest niespodziewanie lekki jak piórko, zaczyna się unosić pod jej togą i ciągnie ją w kierunku tego czegoś.

A więc tak to wygląda.

A więc to takie uczucie.

Endgame.

Przestaje słyszeć krzyki przerażenia, zastępuje je ogłuszająca cisza.

Choć przygotowywała się na tę chwilę przez całe swoje życie, nie sądziła, że faktycznie może się ona wydarzyć.

Miała nadzieję, że nie. 742,42898 dnia. Miała być wolna.

Kamień szarpie ją do przodu.

– Sarah! – krzyczy ktoś i ściska ją mocno za ramię.

Ognista kula stanowi widok intrygujący i straszny zarazem, dziewczyna znowu zaczyna słyszeć jej szum, jak przecina powietrze, płonie, naciera.

– Chodź! SZYBKO!

To Christopher. Dobry, mężny, silny Christopher. Jego twarz poczerwieniała od gorąca i niepokoju, z oczu lecą mu łzy, a z ust tryska ślina. Sarah dostrzega stojących u stóp podium rodziców i brata.

Mają kilka sekund.

Może mniej.

Poranne niebo ciemnieje, czarnieje, kula ognia jest już nad ich głowami. Gorąc staje się nie do wytrzymania, hałas paraliżuje.

Za moment umrą.

Christopher zeskakuje w ostatniej chwili z podium, ciągnąc Sarę za sobą. Powietrze wypełnia się zapachem palonych włosów, drewna, plastiku. Wisiołek szarpie tak mocno w kierunku meteorytu, że łańcuszek wpija się boleśnie w kark Sary.

Oboje zamykają oczy i padają na trawę. Dziewczyna czuje, jak kamień przerywa ogniwo, na którym jest zawieszony, i wylatuje

w powietrze, szukając meteorytu, a ogromna ognista kula nagle zmienia kierunek, zatrzymuje się jakieś tysiąc stóp od nich, unosi się i omija Christophera i Sarę niczym kamień odbity od powierzchni gładkiego jak lustro jeziora. Wszystko dzieje się tak szybko, że nikt nawet tego nie zauważa, co nie zmienia faktu, iż w jakiś sposób, z jakiegoś powodu, starożytny kamień ich ocalił.

Meteoryt przelatuje nad cementową trybuną główną i napotyka przeszkodę jakieś ćwierć mili na wschód. Znajduje się tam budynek szkoły. Parking. Boiska do koszykówki. Korty tenisowe.

Znajdowały.

Meteoryt niszczy je wszystkie.

Bum.

I już ich nie ma.

Znajome, przynoszące poczucie szczęścia miejsca, gdzie Sarah spędziła całe swoje życie – a przynajmniej jego normalną część – znikają w jednej chwili. Zmiecione z powierzchni ziemi. Istotnie rozpoczął się nowy rozdział, ale nie taki, na jaki liczyła.

Fala uderzeniowa przetacza się przez murawę, niosąc ze sobą kurz i ciemność.

Przyciska ich do ziemi, zwała z nóg. Pękają im bębenki.

Powietrze jest nagrzane i pełne pyłu, szare, brązowe i czarne. Ledwie cokolwiek widać. Christopher obejmuje Sarę, osłania ją własnym ciałem. Przyciska do siebie. Oboje pokryci są od stóp do głów brudem, kamieniami i mającymi wielkość pięści kawałkami bóg wie czego.

Wokół nich leżą i inni, część jest ranna. Kaszlą. Nie mogą przestać płakać. Nie potrafią opanować drżenia. Ledwie da się oddychać.

Przechodzi kolejna fala i przyciska wszystkich do ziemi. Sarze brakuje tchu. Znowu nastaje światłość, grunt zaczyna się trząść i słychać rumor. Spadają kawały cementu i stali, poskręcane samochody, meble. Mogą jedynie czekać, modląc się, żeby nic w nich nie uderzyło. Christopher przyciska Sarę do siebie tak mocno, że dziewczyna z bólu odruchowo wbija paznokcie w jego plecy.

Nie mają pojęcia, ile czasu minęło. Niebo zaczyna się przejaśniać, powracają znajome dźwięki. Ludzie jęczą i wyją z bólu. Nawołują się. Słyszysz swoje imię.

To jej ojciec.

– Sarah. Sarah!

– Tutaj! – odkrzykuje; jej głos jest zduszony, brzmi obco nawet dla niej samej. Nadal słyszy nieustające brzęczenie – Tu jestem!

Z chmury pyłu wyłania się jej ojciec. Umorusana popiołem twarz lepi mu się od krwi; białka jego oczu wydają się lśnić krystaliczną czystością. Oboje wiedzą, co się stało.

Endgame.

– Sarah!

Mężczyzna pada przy nich na kolana, obejmując oboje. Płaczą. Podnoszą się powoli z ziemi. Zewsząd słychać krzyki. Sarah otwiera na moment oczy i widzi przed sobą Reenę; jest skołowana, w szoku. Ramię jej najlepszej przyjaciółki zostało oderwane powyżej łokcia, z jej tułowia wystaje jedynie krwawy kikut obleczony poszarpaną skórą, z którego sterczy połamana kość. Nie ma już na sobie togi, ale jakimś cudem biret utrzymał się na jej głowie. Jest cała w sadzy. Sarah woła ją, lecz Reena nie słyszy. Po chwili znowu niknie w pyłe. Dziewczyna wie, że nie zobaczy jej już nigdy więcej.

– Gdzie jest mama? – szepcze ojcu do ucha.

– Była ze mną. Nie wiem.

– Kamień, on... On...

– Wiem.

– Sarah? – słychać wołanie matki.

– Tutaj! – krzyczy cała trójka.

Mama Sary czołga się w ich kierunku. Włosy po prawej stronie jej czaszki spłonęły, twarz ma poparzoną, lecz niezbyt poważne. Kiedy dostrzega męża i córkę, rozpromienia się; w jej spojrzeniu kryje się jednak coś innego, niż kiedy patrzyła na idącą na podium Sarę.

Wygłaszałam mowę, myśli dziewczyna. Wygłaszałam mowę na zakończenie roku. Ludzie byli po prostu szczęśliwi. Tak bardzo szczęśliwi.

– Olowa – mówi cicho Simon, wyciągając ku żonie rękę. – Gdzie Tate?

Olowa kręci głową.

– Nie wiem.

Z oddali dobiega ich huk eksplozji.

Kurz opada i skala tragedii staje się bardziej widoczna. Wszędzie zalegają okaleczone zwłoki. Christopher i Alopayowie mieli szczęście. Sarah dostrzega głowę oderwaną od tułowia. Potem nogę. Obok nich spada na ziemię biret.

– Sarah, zaczęło się. Na poważnie.

To Tate. Idzie w ich stronę z wyciągniętymi ramionami. Jedną dłoń zacisnął mocno w pięść; w drugiej trzyma złoto-zielony kamień wielkości grejpfruta poprzecinany siateczką czarnych, metalowych żył. Jest zadziwiająco czysty, jakby wcale nie uczestniczył w całym tym zamieszaniu. Tate się uśmiecha. Ma usta pełne krwi. Był niegdyś Gra-czem, ale to przeszłość. Wydaje się jednak podekscytowany tym, co czeka jego siostrę, nie bacząc na tragedię. Uśmiecha się mimo śmierci, mimo zniszczenia, mimo tego, co dopiero nadejdzie.

– Znalazłem je! – Tate jest już zaledwie dziesięć stóp od nich.

Z oddali dochodzi huk kolejnej, tym razem jednak mniejszej eksplozji. Chłopak otwiera dłoń i kładzie nieduży kamień, który jeszcze niedawno wisiał na piersi jego siostry, na tym większym, wielokolorowym.

– Pasuje jak ulał – mówi.

– *Nukumi* – mówi z nabożną czcią Simon.

– *Nukumi* – powtarza za nim Sarah, lecz mniej podniosłym tonem.

– Co? – pyta Christopher.

– Nic takiego... – odpowiada dziewczyna.

Chce powiedzieć coś jeszcze, ale przerywa jej następny wybuch, który posyła w powietrze kawałki metalu. Długi na sześć stóp pręt przerywa kłatkę piersiową Tate'a. Umarł. Odszedł. W ułamku sekundy. Pada na plecy, nadal trzymając w dłoni zielonkawy kamień i wisiorek siostry. Jego matka wrzeszczy, ojciec krzyczy: „Nie!”.

Sarah nie może wydusić z siebie słowa. Christopher patrzy na całą tę scenę zszokowany. Z piersi Tate'a tryska krew. Ma otwarte oczy, które spoglądają w martwym skupieniu na niebo. Jeszcze drgają mu stopy, kiedy opuszcza go życie. Lecz kamień i wisiołek są bezpieczne.

To nie przypadek.

Kamienie są ważne.

Niosą wiadomość.

Endgame się rozpoczęło.



Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarń
i na www.labotiga.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

